

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

16

(Ciąg z poprzedniego).

Wrócił do salonów klubu i zadysponował obiad. Czekając tymczasem, siadł na kanapie; zauważył, że Altenheim przeszedł, zapalił więc papierosa, pociągnął trzy razy i rzucił go. Musiał to być umówiony sygnał, gdyż dwaj młodzi ludzie przyszli i usiedli przy nim; zdawało się, że on ich nie zna, ale szeptem nieznacznie rozmawiał z nimi.

Byli to dwaj bracia Dondeville, tym razem w przebraniu eleganckich światowców.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał — zgromadziliście wszystkich naszych ludzi?

— Czekają tylko na rozkazy, mistrzu.

Sernin zastanowił się dłuższą chwilę, a potem zaczął mówić półgłosem, jak gdyby kończył swe rozmyślenia:

— Tak, w tem wszystkim jest tylko interesującym odkrycie starego Steinwega. Jeżeli się czepiam barona, który tego pocziwca skonfiskował, to tylko dlatego, że mam nadzieję zdobyć jakiś ślad. Ale jak dotąd, niema nic. A jednak niewątpliwie on musi się codziennie komunikować z tym starym. Musi robić wszystko, co można, by z niego tajemnicę wyciągnąć. Ale gdzie on go widuje? Gdzie go zamknął? Czyżby u znajomych? Nie. Steinweg musi być u niego, w willi Dupont...

— A więc co każeś, mistrzu?

— Niema co, bierzcie wszystkich waszych ludzi i wejdźcie tam.

— Ba! ale jak?

— W imieniu prawa. Czyż wy nie jesteście inspektorami w służbie policyjnej?

— Ależ my nie mamy prawa.

— Przywłaszczycie je sobie.

— Ale jeżeli Altenheim wróci?

— Nie wróci przed północą. Już ja się o to postaram. Macie przed sobą trzy i pół godziny — czasu dość, by przetrząsnąć cały dom i porwać starego. Weźcie automobil. Ty zaś, Jakóbie, wracaj tu co godzina i przynos mi wieści.

Baron nadchodził, poszedł naprzeciw niego.

— Zjemy obiad, nieprawdaż? Ten mały wypadek w ogrodzie wytrawił mnie, głodny jestem. Co do tego, baronie, chciałbym dać panu kilka rad...

Siedli do stołu. Przez cały czas Sernin uprawiał wesołe kpiny, był zaczepny. Wyglądało to, jakby chciał odłupić barona językiem. Tamten bronił się czasami, dotknięty do żywego. Ale książkę nie ustawał.

— Może zagramy teraz partyjkę bilardu? Masz pan ochotę? Garson, cygara!

Jakób Dondeville ukazał się i podczas gdy baron zapalał cygaro, szepnął do księcia:

— Już. Czterech drabów służby związaliśmy.

— A Steinweg?

— Szukają go.

— Uciekaj!

Przy partyi bilardu Sernin był zadziwiająco zręczny, a przy tem ironiczny, uszczypliwy.

— Pójdę już — rzekł baron — mam wiele do czynienia...

— Ależ po co, zostań pan!... Przejdźmy do sali gry! Zagralmy partyjkę bakarata!

Sernin trzymał bank. Zażądał nowych kart, stasował, rozdał.

Altenheim stawiał wysoko, zapalał się, przegrywał.

— Teraz go trzymam — pomyślał Sernin — nie ruszy się przed północą.

Gra trwała długo, zrazu ze zmiennem szczęściem, potem karta zaczęła iść Serninowi wytrwale, bez przerwy.

Altenheim wpadał w zacieklność, nie tyle żeby się odegrać, ale z chorobliwej miłości własnej, z nienawiści do Sernina. Pienił się, grał nierozważnie, dublował stawki i wciąż przegrywał.

Do jedenastej przegrał sto tysięcy franków.

Ktoś zbliżył się do Sernina i szepnął mu na ucho:

— To ja, Dondeville. Przetrząśnięto dom, ale Steinwega znaleźć nie można.

— Przeszukajcie jeszcze raz i wracaj o północy. Czekam cię.

Altenheim powstał.

— Jakto baronie? Pan przecież jeszcze nie odchodzi?

— Owszem. Potrzeba mi pieniędzy, ażeby móc panu zapłacić.

— Co tam! To załatwimy jutro. A zresztą może się karta odwrócić.

— Dobrze. Ale pod warunkiem, że ja obejmę bank.

— Od ilu pan zaczyna?

— Od pięciuset ludiorów.

— Trzymam.

Po chwili Altenheim odkrył swoją kartę.

— Dziewiątka.

— O szelma! oszukuje! — pomyślał książkę, zasiadając do stołu — drogo to mnie kosztować będzie!

Ze względu na galeryę, przyglądającą się temu nieubłaganemu pojedynkowi dwóch graczy, nie mógł on, książkę Sernin, którego wygranej wszyscy byli świadkami, nie mógł grać małymi stawkami. Wypadało stawiać wysoko.

O kwadrans po jedenastej już przegrał pięćdziesiąt tysięcy; o wpół do dwunastej stracił całą swą dotychczasową wygraną.

— Łotrze, gałganie! — powtarzał w duchu Sernin — rabujesz mnie, jak zbój na rozstajnej drodze. Dość mam tego przymykania oczu. Znowu dziewiątka! O łotr! A gdybym tak dał pokój i poszedł? Ale cóż! I on sobie pójdzie i wpadnie tam, zanim moi skończyć zdążą!

O trzy kwadransy do dwunastej Sernin był przegrany na dwadzieścia pięć tysięcy franków.

Altenheim, wciąż uśmiechnięty, trzy razy zapytał księcia:

— Chce pan grać dalej?

— Owszem... owszem... gram!

I znów przegrywał, jak pierwej.

— I spojrzał na zegarek. Dwunasta. Raz jeszcze stawiał i przegrał. Ujrzał wreszcie Jakóba Dondeville i powstał.

— Jutro zapłacę baronie, jutro rano.

— I cóż, znaleźliście go? — zapytał w przedpokoju Jakóba Dondeville.

— Nie. Naprawdę szukaliśmy!

— Do diabła! A ja tu wpadłem na trzydzieści pięć tysięcy franków!

— Co będzie mistrzu?

— Jadę tam sam.

— A jeżeli baron nadejdzie?

— W każdym razie mamy z dziesięć minut czasu przed nim. To mi powinno wystarczyć.

IX.

Zawrotnym pędem automobil jego podążył ku willi Dupont.

Jan Dondeville z towarzyszącymi czekał w progu powrotu Jakóba.

— Gdzie są czterej lokaje? — zapytał Sernin, wchodząc.

— Tam, w kredensie, powiązani, a razem z nimi kucharka.

— To dobrze. Wolę, żeby mnie nie widziano. Wy wszyscy możecie wracać do domu. Janie ty zostań na dole i czuwaj. Jakóbie, przeprowadź mnie galopem przez cały dom, tak żebym sobie zdał sprawę z całego rozkładu. Gaś za nami elektryczność.

Spiesznie przebiegł sutereny, parter, pierwsze i drugie piętro i strych. Nie przeszukiwał, bo wiedział, że ludzie jego już to zrobili, ale pilnie notował w pamięci wszystkie szczegóły rozkładu domu.

Skończywszy, wrócił do sypialnego pokoju Altenheima i bacznie się w nim rozejrzał.

— To właśnie to, czego mi potrzeba — rzekł, usuwając firankę, poza którą kryła się ciemna alkowa, zawieszona ubraniami. — Stąd widzieć będę cały pokój.

— Ale jakżeż pan stąd wyjdzie?

— Sam nie wiem, ale jakoś to będzie. Idź Dondeville, zamknij drzwi. A jutro rano poślij odemnie trzydzieści pięć tysięcy franków temu łotrowi baronowi.

— Trzydzieści pięć tysięcy franków?

— Ani grosza mniej. To dług karciany, rzecz święta. Pamiętaj o honorze książęcego rodu Serninów!

Siadł na kufereczku poza poczwórnym rzędem zawieszonych ubrań. Był tu oczywiście bezpiecznie schowany, chyba gdyby przyjąć miało do przeszukiwania...

Upięknęło dziesięć minut może. Rozległ się turkot przed domem. Trzasnęły drzwi i zaraz też zabrzmiały głosy, okrzyki...

— Teraz sobie opowiadają — pomyślał Sernin. — Baron musi być wściekły... — Rozumie teraz powody mego postępowania w klubie i rozumie, że go nabrałem. I pierwsze, o czem teraz pomyśli, będzie: czy mu też zabrano Steinwega? Ażeby się przekonać, pobiegnie najpierw do jego skrytki. Jeżeli pójdzie po schodach, skrytka jest na górze, jeżeli na dół zejdzie, jest w suterrenach.

Nadstuchiwał. Gwar głosów trwał dalej, ale nikt się nie ruszał; oczywiście Altenheim przesłuchiwał swoich współników. Po upływie jakiejś pół godziny dopiero usłyszał Sernin kroki wchodzące po schodach.

— Idźcie wszyscy spać — odezwał się głos Altenheima.

Baron wszedł do swego pokoju z jednym ze swych ludzi i zamknął drzwi za sobą.

— I ja też się położę, Dominiku. Gdybyśmy całą noc przegadali, nie zajdziemy jednak dalej.

— Mojem zdaniem on tu przyszedł, szukając Steinwega.

— I ja tak myślę i dlatego śmieję się z tego, ponieważ Steinwega tu niema.

— Ale gdzież on jest nareszcie? Gdzie pan mógł go podziąć?

— To już moja tajemnica, a ty wiesz, że ja moje tajemnice chowam dla siebie. Tyle ci mogę powiedzieć, że schowany jest dobrze i że stamtąd, gdzie jest, nie wyjdzie, dokąd nie przemówi.

— Ale tamtego księcia, to wartoby się pozbyć!

— Bądź spokojny, mój stary, wkrótce ci ofiaruję portfel z jego skóry!... A teraz idę spać — upadam ze znużenia.

Dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Następnie Sernin usłyszał, że baron zasuwa drzwi na rygiel, wypróżnia kieszenie, nakreśla zegarek i rozbiera się.

Wesół był, pogwizdywał, nucił, mruczał nawet półgłosem do siebie:

— Tak, z jego skóry... i to prędko, prędko!... inaczej on nas weźmie, ten rzezimieszek!... To nie, spudłował dziś wieczór! A dobrze kombinował jednak... Steinweg tylko tu być może. Tylko gdzie? w tem sęk!

Położył się do łóżka i zaraz też zgasił elektryczność.

Sernin przybliżył się do firanki, odchylił ją z lekka i patrzył. Niepewne światło nocy wpływało przez okno, łóżko stało w zupełnej ciemności.

— Najoczywiściej osiadłem na łodzie — myślał. — Skoro tylko on zachrapie, ja się wynoszę...

Ale jakiś stłumiony odgłos go zadziwił, odgłos, którego sobie nie umiał wytłumaczyć, a który płynął od strony łóżka. Było to coś, jakby lekki chrzęst, zaledwie dosłyszalny.

— No i cóż, panie Steinweg, na czemże stoimy?

To baron mówił! To niewątpliwie on mówił! Ale jakimże sposobem mógł mówić do Steinwega, skoro Steinwega nie było w pokoju?

Altenheim mówił znowu:

— Więc nie chcesz gadać? Nie?... Głupcze! Trzeba jednak, żebyś wyśpiewał to, co wiesz... Nie chcesz? A więc dobranoc! Do jutra!

— Ja chyba śnię! ja chyba śnię! — powtarzał w duchu Sernin. — Albo też może to on mówi przez sen... Bo przecież jakże to? Steinwega niema przy nim, niema go w sąsiednim pokoju, niema go nawet w domu... Sam Altenheim to powiedział. A więc cóż to wszystko znaczy?

Wahał się. Czyżby może rzucić się na barona, chwycić go za gardło i siłą i groźbą wymusić to, co podstępem zdobyć się nie dało? Nonsens! Nigdy w świecie! Altenheim nie da się zastraszyć!

— Pójdę sobie — pomyślał. — Straciłem wieczór...

Nie poszedł jednak. Czuł, że nie może, że musi czekać, czy mu przypadek nie przyjdzie czasem na pomoc.

Z wszelką ostrożnością zdjął z wieszadeł parę ubrań, jakiś paltot, rozłożył je na ziemi, oparł się plecami o ścianę i usnął najspokojniej w świecie.

Baron nie był rannym ptaszkiem. Zegar gdzieś bił dzwonią, gdy wyskoczył z łóżka i zadzwonił na służącego.

Przejrzał pocztę, którą mu przyniósł służący, ubrał się w milczeniu i zaczął pisać listy, podczas gdy służący starannie rozwieszał zdjęte rzeczy w garderobie za firanką. Sernin z gotowymi pięściami czekał, czy służący go nie zauważy.

O dziesiątej baron rzucił rozkaz:

— Idź teraz... Idź zaraz teraz i nie wracaj, dopóki cię nie zawołam.

Sam drzwi zamknął za służącym, poczekał chwilę nieufnie, a potem przystąpił do telefonu i ujął słuchawkę.

— Proszę mi połączyć z Garches, Nr. 30!

W kilka sekund później cicho, ale bardzo wyraźnie mówił:

— Halo!... Tak, to ja... nie traćmy słów niepotrzebnie... Wczoraj? Tak, nie udało ci się w ogrodzie... Na inny raz, naturalnie... Ale czas nagli... Kazał przetrząsnąć dom wczoraj wieczór... opowiem ci... Nie znalazł naturalnie... Co? Halo!... Nie, stary nie chce mówić... jeszcze raz spróbuję dziś w nocy, ale się boję... Masz słusność... trzeba się zoba-